

Gra terenowa - początek nowego świata

„To pewnego rodzaju gra terenowa, w którą postaraj się wplątać wszystkie miejsca i wszystkich ważnych dla Ciebie ludzi. Oni nie muszą wiedzieć, że grają, ale muszą czuć, że żyją i choćby przez ułamek sekundy wiedzieć po co...” (cytat z listu do widzów).

Twórcy festiwalu, czyli Teatr Chorea i Fabryka Sztuki (współorganizator) nie unikają trudnych tematów i nie boją się pokazywać spektakli niewygodnych. Przeciwnie - ideą festiwalu jest skonfrontowanie widza z takimi wydarzeniami i zjawiskami, jak wojna na Ukrainie, nierówności społeczne, głód czy zagrożenie katastrofą atomową.

Przygotowana pięć lat temu premiera „Gęstość zaludnienia. Historia wybuchu” Teatru Kana, w reżyserii Krzysztofa Popiołka, na podstawie „Czarnobylskiej modlitwy. Kroniki przyszłości” Swietłany Aleksijewicz, zyskuje na aktualności po wkroczeniu Rosji na terytorium Ukrainy. Kilka miesięcy temu obawialiśmy się zintensyfikowania działań wojennych na terytorium reaktora w Czarnobyli, potem - w Zaporozżu. Dlatego oglądanie spektaklu Kany przestało być czymś oderwanym od rzeczywistości. Wielka radioaktywna chmura zawieszona na sznureczkach, podświetlona na różowo, nie budzi uśmiechu pobłażania dla umowności scenografii. Patrzymy, jak starszy pan (Dariusz Mięka) próbuje zapakować swój dobytek, wśród którego znajdują się rzeczy, których zabrać się nie da - akwarium z rybkami czy symboliczna pamięć o nieobecnej żonie (może nieżyjącej wskutek napromieniowania?), utożsamiana z jej zdjęciem w ramkach. Zresztą i tak wszystko jest skażone: nie można zabrać ze sobą niczego. Pozostałe postaci walczą o uwagę widza w sposób, który przypomina grę w „moje gorsze”. Młoda lekarka (Bibianna Chimiak) przywołuje marzenia o pomocy ludziom, skonfrontowane z bezradnością wobec choroby popromiennej. Na cierpienie ofiar niewiele można poradzić, a brak dostępu do wiedzy jeszcze pogarsza sprawę. Młoda kobieta (Karolina Sabat) doświadcza strasznego cierpienia swojego chłopaka, którego ciało dosłownie się rozpada, a jeszcze tak niedawno obchodzili wspólne urodziny. Wypowiedzi kolejnych postaci są ekspresyjne, podkreślane sekwencjami szaleńczego tańca, w tle projekcje - przerażające filmy z powodzi i kataklizmów. Filmy wyglądają jak dokumentalne, nakręcone komórką. W pewnym momencie już nie chcemy tego oglądać - a jednak nikt nie wychodzi. W czasach tylu zagrożeń może łatwiej przeżywać ten lęk razem, we wspólnocie aktorów i widzów. Bo od kolejnych katastrof ekologicznych i tak nie uciekniemy, co uświadamia nam katastrofa na Odrze.

Podobny odruch paniki - ucieczki ogarniał podczas oglądania przedstawienia „Głód” Teatru pod Fontanną z Centrum Kultury Zamek w Poznaniu, w reżyserii Janusza Stolarskiego. Przytaczano twarde dane dotyczące Nigru i wielu innych krajów, odsłaniające skalę wyczerpania i postkolonialnych praktyk, zamieszczone w stanowiącej podstawę spektaklu książce Martína Caparrósa pod tym samym tytułem. Mocny jest już początek: w wyciemnionej przestrzeni odsłania się podświetlana scena obrotowa z metalowymi łukami. W teatralną przestrzeń wchodzi aktorzy, także twórcy z niepełnosprawnością. Jeden z nich porusza się podtrzymywany na drążkach, dzięki którym może się oprzeć ramionami i wejść na scenę. Aktorzy zajmują pozycje. Będą czytać i recytować dane oraz informacje o mechanizmach prowadzących do klęski głodu w krajach najbiedniejszych, podkreślane przez projekcje odwołujące się do ich słów sugestywnymi obrazami. Na obracającej się scenie zobaczyliśmy scenki rodzajowe: wygodnie rozłożone aktorki objadające się chipsami z nonszalancją typową dla sytego człowieka Zachodu, dialogują o tym, czy zmniejszenie ilości spożywanego jedzenia rzeczywiście coś zmieni. Wygłaszają też komunikaty niczym z treningu asertywności: to nie jest mój problem. To nie jest moja sprawa. Wyparcie pomaga przetrwać, także widzom, ale nie do końca działa, bo rosnących cen żywności nie da się wyprzeć. Ale i tak powtarzamy mantrę: u nas głodu przecież nie będzie.

Jednak najmocniejszą i najbardziej przerażającą propozycją festiwalu był koncert „Imperium delenda est” Teatru Łesi Ukrainki ze Lwowa w reżyserii Dmytra Zakhozhenki. Prezentacji bliżej było do koncertu performatywnego czy spektaklu muzycznego. Aktorki: Tayisiya Datsyk, Zoryana Dybovska, Olha Zakhozhenko, Sofiya Leshyshak, Anastasiya Perets, Oksana Tsymbalist weszły na scenę szklanego holu Art_Inkubatora w kostiumach odwołujących się do ukraińskich strojów ludowych, ale od stóp do głów w czerni (kostiumy – Mariya Antonyak), z biżuterią wykonaną z nabojów. Wrażenie było piorunujące. Jeśli ktoś oczekiwał standardowego koncertu pieśni ukraińskich, wykonanych przez kobiety w białych koszulach z czerwonym haftem, stało się jasne, że znieczulenia dla widzów nie przewidziano. Pieśni, np. o kalinie, oczywiście zaśpiewano i to tak, że ciarki przechodziły po plecach. Elementem koncertu była też recytacja wierszy Kateryny Kalytko czy Halyny Kruk. Wkomponowane w nie autentyczne opowieści aktorek o toczącej się wojnie na Ukrainie tworzyły wstrząsającą mieszankę. Był na przykład monolog o tym, jak wciąż trudno uwierzyć, że wojna może dotyczyć ich samych, wydarzyć się w Europie, a nie w dalekim kraju na Wschodzie. Jak brakuje wody, jak giną najbliżsi, jak straszny ogarnia lęk. I wściekłość. Recytowany jest tekst notorycznie łamanej przez Rosję konwencji genewskiej, wybrzmiewa krzyk, że nie czas się kryć, czas zabijać, by przeżyć. I czas zabić Putina, a przede wszystkim: dlaczego nie można zamknąć nieba? Koncert zamienia się w psychodramę, przeganianie złych duchów, ekspresja ciała i głosu zdaje się sięgać zenitu. Na projekcjach widzimy autentyczne filmy z toczącej się wojny. Granica między rzeczywistością a teatrem, autentyczną rozpaczą i aktorską grą się zaciera.

Szukając rozwiązania, jak poprawić świat (bo uratować się go już chyba nie da) pogrążający się w kryzysie, można wskazać co najmniej kilka tropów. Jednym z nich jest poprawa relacji z... samym sobą. Ta myśl znalazła wyjątkowy wyraz artystyczny w monodramie z lalką „Romans” na podstawie tekstu Zuzanny Bojdy, w reżyserii Natalii Sakowicz, grającej zarazem główną i jedyną rolę w spektaklu. Drugą grającą jest lalka, wirtuozersko poruszana przez aktorkę, mówiącą na dwa głosy. I poruszająca się za dwoje (ruch sceniczny Iza Szostak). Lalka animowana jest tak subtelnie i umiejętnie, że niemal tego nie dostrzegamy. Ucharakteryzowana jest podobnie do aktorki, trudno do końca rozstrzygnąć, czy rzecz jest o relacji z partnerką, czy z samą sobą. Skłaniam się ku tej drugiej interpretacji. Aktorka najpierw obdarza postać graną przez lalkę bezwarunkowym uczuciem, uwodzi, uzależnia od siebie, a po emocjonalnym osaczeniu niszczy ją bolesnymi komunikatami i brakiem szacunku do jej ciała. Od głaskania i bliskości do szarpania, składania i pakowania jak przedmiot. Oto, co się dzieje, gdy człowiek sam sobie wydaje się wciąż niewystarczający (jak przyznała Natalia Sakowicz podczas spotkania z widzami po spektaklu) – zaczyna sam siebie niszczyć destrukcyjnymi myślami, popada w nałogi albo zaburzenia odżywiania, szukając ucieczki od koszmarnych myśli o sobie.

Warto wspomnieć, że widzowie „Retroperspektyw” dostali przed pierwszym spektaklem list. Trochę jak przesłanie schowane w butelce i wrzucone do morza, tylko włożone do koperty i naszykowane na krzesła. List napisany odręcznie, z datą 19 sierpnia 2022. Zawiera instrukcję obsługi końca świata, czyli możliwość skorzystania z jednej z trzech możliwości: okna, strusia lub Dawida. I apel o ratowanie chociaż kawałka świata, stworzenie własnej enklawy, z delikatnymi, ale wyraźnie zaznaczonymi granicami, najważniejszymi dla siebie ludźmi i ziemią, po której będzie można stąpać.

Takie przesłanie zdaje się zawierać inauguracyjny spektakl „Ragnarok” Teatru Chorea i Carte Blanche w reżyserii Adriana Bartczaka. W założeniu opowiada o fazie liminalnej, pomiędzy rzeczywistościami, pomiędzy światami – starym i nowym. Z bezładu, oddanego przez poprzewracane meble i aktorską niemoc, stopniowo przechodzimy do przywracania porządku, przypominania najlepszych chwil, snucia wizji przyszłości, nawet jeśli są utopijne. To prawda, że świat tonie, być może nie powinniśmy w tym czasie tańczyć na dyskotece. Cóż nam jednak pozostało? Próby zbliżenia się do siebie, przytulenia w tańcu, kultywowania codziennych rytuałów, takich jak jedzenie wspólnego posiłku. I podzielenie się nim z innymi, w tym przypadku z widownią, która po

przełamaniu nieśmiałości zdecydowała się skosztować kanapek i sałaty z pomidorem.

Ważna jest autentyczna integracja i „odkluczanie”. W spektaklu „Złota nić” Teatru Chorea połączono grupę młodzieżową i senioralną. Za reżyserię i choreografię odpowiada kolektyw twórczy: Magdalena Paszkiewicz, Janusz Adam Biedrzycki i Wiktor Moraczewski. Wszystkie aktorki, ubrane w różniące się fasonem, ale konsekwentnie biało-czarne stroje, początkowo „okopują się” w swoich przestrzeniach i gestach, wyznaczanych przez usypywane linie. Poprzez wspólnie kreowany ruch sceniczny, muzykę, udaje się skruszyć mury i stworzyć wspólną scenę buntu i symbolicznego palenia emocji, które powinny już odejść. Pełnia ekspresji odsłania się, gdy aktorki radośnie przechadzają się po scenie czy raczej dokazują na niej, znajdując swoje alter ego i zyskując zgodny z nim strój i charakteryzację: chińskiej damy w tradycyjnym stroju z parasoleczką, silnej wiejskiej kobiety w chustce stylizowanej na ludową czy... kolorowej ośmiornicy. Radosne uwalnianie marzeń i niczym nie skrępowanej wyobraźni zyskuje wymiar uwalniający. W scenie zamykającej spektakl tworzy się krąg, w którym każda z kobiet może oprzeć głowę na ramieniu siedzącej obok osoby. Gest wspólnego snucia nici, w domyśle złotej, symbolicznie wyraża współdziałanie i dokończenie procesu zbudowania więzi. Z rozmowy z twórcami po spektaklu wiemy, że proces grupowy, który prowadził do tego momentu bynajmniej nie był sielanką, ale ostatecznie obie grupy wiekowe wyszły poza stereotypy myślenia o innych pokoleniach i autentycznie się zaprzyjaźniły. Idea wspólnotowości znalazła też wyraz w spotkaniach takich jak „Ekologie kultury” i „Włącz się! - sieciowanie teatrów niezależnych” - inicjatywy łączącej artystów teatru niezależnego w regionie łódzkim i służącej wzajemnemu wspieraniu się.

Na festiwalach ważne jest też to, co dzieje się poza teatralną sceną i spotkaniami wpisanymi w program. A wśród widowni „Retroperspektyw” widać ludzi w różnym wieku, różnorodnie ubranych, osoby z niepełnosprawnościami. Ideę włączania w działalność artystyczną i uczestnictwo w życiu kulturalnym udaje się urzeczywistniać. I na to organizatorzy pracują cały rok, a nawet całe lata, a nie tylko podczas dziesięciu dni trwania festiwalu. Program „Retroperspektyw” okazał się na tyle bogaty i różnorodny, że można go potraktować jak grę terenową, zapowiadaną w liście do widza. W zależności od tego, które wydarzenia wybierzemy i w jaki sposób je odczytamy, ułożymy mapę z punktami, które są dla nas najistotniejsze.

Paulina Ilska

Międzynarodowy Festiwal Teatralny „Retroperspektywy” 2022 odbył się w dniach 19-28 sierpnia w Fabryce Sztuki w Łodzi.

Fot. Agnieszka Cytacka